

Michał Gołębiowski: Od Szymborskiej do Wojtyły: granice ironii

Dojrzałość, pełnia, pojednanie, nadzieja – oto język, którym operuje „Rozważanie o śmierci”. Język dla wielu wręcz gorszący, postawiony w stan oskarżenia przez twórców podejrzliwych i niedowierzających wielkim deklaram. Pod tym względem Wojtyła jest wiernym uczniem Norwida, przejmującym od niego szlachetną wzniosłość i zaangażowanie. Obaj twórcy byli metafizyczni, mówili o wielkości w sposób, który podnosi w człowieku to, co najgłębiej jego – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Szymborska. Ironiczne skutki zdziwienia”.

Zawsze miałem pewien problem z poezją Wisławy Szymborskiej. W dzieciństwie mama przedstawiła mi ją jako swoją ulubioną autorkę i dość łatwo dało się zrozumieć, dlaczego zasłużyła na to akurat autorka *Wołania do Yeti*.

Ironii Szymborskiej nie cechuje złośliwość ani zgorzknienie. Jest to właściwie dokładne przeciwieństwo cynicznego szyderstwa wielu współczesnych autorów, którzy złem odpłacają złu tego świata. Nie jest to *Podróż do kresu nocy* Louisa-Ferdinanda Céline’a czy *Mdłości* Jeana-Paula Sartre’a. Ale nie jest to również poezja Tadeusza Różewicza, który nie zatonął w cynizmie, ale – to nie ulega wątpliwości – stał się

człowiekiem powojennej acedii, ducha południa, który nie pozwala uwierzyć już w cokolwiek niespokojnemu sercu, szukającemu ukojenia w Bogu.

Poezja Szymborskiej jest zupełnie inna. Ona również, co prawda, wyrasta ze świadomości absurdu i tragizmu ludzkiego losu, lecz reaguje na trudne prawdy egzystencji nieco inaczej. Nie organizuje jej rozpacz, cynizm, ani hiobowe lub jakubowe zmagania Różewicza. Chociaż porzuca wszelkiego rodzaju nadprzyrodzony autorytet, nie bardzo przejęta grzechem pierworodnym ani zbawieniem, to nieobojętny jest jej doskwierający wszystkim kryzys wartości. Przeciwnie, ironia służy Szymborskiej właśnie temu, aby ustanowić zdrowy dystans wobec rzeczywistości rozpoznanej jako uwikłaną w wiele konfliktów tragicznych. To nie tylko gra z czytelnikiem. To także sposób na osvajanie chaosu. Mówiąc dobitniej: jest to walka o ocalenie.

Staram się odtworzyć moje pierwsze spotkanie z poezją Szymborskiej. Pamiętam, że moją mamę zachwycała niezrównana lekkość, z jaką poetka odkrywała na nowo świat, na pozór dobrze znany, a jednak, dzięki przemieniającej mocy humoru i metafory, zaskakujący i nieoczywisty. Ofiarowany mi tomik wierszy w pomarańczowej oprawie zaczynał się od wiersza:

Dokąd biegnie ta napisana sarna przez napisany las?
Czy z napisanej wody pić,
która jej pyszczek odbije jak kalka?
Dlaczego łeb podnosi, czy coś słyszy?
Na pożyczonych z prawdy czterech nóżkach wsparta
spod moich palców uchem strzyże.

Było w tym coś głęboko humanistycznego, ludzkiego; dość szybko zdałem sobie z tego sprawę. W tym czasie wielkie słowa na temat godności ludzkiej padały z ust Karola Wojtyły, późniejszego Jana Pawła II oraz Czesława Miłosza. „Ten drugi zapytywał wprost: Gdzież jest, poeto, ocalenie? Czy coś ocalić może ziemię?” Szymborska również pisała z myślą o godności ludzkiej. Tak zawsze postrzegałem w niej to, co bezpretensjonalne, żartobliwe, igrające. Czyniła to bez koturnowości, odwołań do wielkich metafizycznych pytań i tradycji. Humor, wyobraźnia, pisanie świata na nowo – to był jej sposób na ukazywanie nam naszej małej wielkości.

Z czasem zacząłem jednak dostrzegać u Szymborskiej coraz więcej niesprawiedliwych sądów. Nie uważam siebie za człowieka, który potrzebuje skryć się za koturnowością, aby jakoś zorganizować sobie rzeczywistość. Przeciwnie, w dojrzałym wieku zacząłem cenić bezpośredniość poznania, doświadczanie, minimalizm i pokorę wobec tego, co nas otacza. Zacząłem jednocześnie zadawać sobie pytanie, czy ironia i lekkość, za sprawą których Szymborska odsłania nam świat, nie zostały okupione pewnego rodzaju metafizycznym resentementem.

Powaga Miłosza, Różewicza i Wojtyły zdała mi się czymś bardziej przekonującym. Oni przynajmniej, pomyślałem, traktują sprawy wielkie jako faktycznie wielkie

Był to zresztą problem, który, jako katolik wierzący w mistykę rzeczy małych, niepozornych i codziennych, miałem także z poezją ks. Jana Twardowskiego.

Nie jestem do końca pewien, czy ciepła ironia nie stała się u obu twórców sposobem na niezaangażowanie w życie. Pod tym względem powaga Miłosza, Różewicza i Wojtyły (tego ostatniego uznajmy, nie bez powodu, za jednego z ważniejszych poetów polskich XX wieku) zdała mi się czymś bardziej przekonującym. Oni przynajmniej, pomyślałem, traktują sprawy wielkie jako faktycznie wielkie. Dało się u nich wyczuć rzeczywiste przejęcie. Pewien słusznie uznawany ciężar bytu.

„Te oczy znużone to znak, że ciemne wody nocy płynęły w słowach modlitwy”, mówi *Pieśń o blasku wody* Karola Wojtyły. Ludzka wrażliwość jako współtworząca ze Stwórcą, poezja jako medytacja, powaga ciszy, „amen” wypowiedane językowi natury przez Paula Claudela w filmie *Camille Claudel. 1915...* Tak, warto kultywować w sobie bojaźń, cześć i pamięć także dla tego poziomu poznania rzeczywistości. To także zdumienie, inne od tego, którego przyczyną była „napisana sarna” i „napisany las”, majestatyczne, przypominające słowami *Tryptyku rzymskiego*, że „przemijanie ma sens”, a przecież równie ważne. I tak samo prawdziwie ludzkie.

Odtąd z pewną rezerwą czytałem zapewnienia Szymborskiej, że wielkie słowa są w istocie pustym brzmieniem cymbału. I że pozostał nam dystans jako jedyna autentyczna postawa. Nieprawda, istnieją sprawy, które powalają człowieka na kolana, nie będąc przy tym ani abstrakcyjną ideą, ani barokiem, ani tym bardziej obłudną mową tych, którzy chcieliby osiąść władzę nad naszymi duszami.

Zakończenie wiersza *Utopia* jest wspaniałe: „Jak gdyby tylko odchodzono stąd i bezpowrotnie zanurzano się w topieli. W życiu nie do pojęcia”. Ten zachwyt nad rzeczywistością, która zawsze nas

przekracza, jest mi bliski. Jest też, mówiąc otwarcie, chrześcijański. Ale w wierszu Szymborskiej oskarżona została, jak łatwo się domyślić, metafizyka, zachodnia racjonalność, logos... Tak uczyli nas już frankfurtczycy. A przecież metafizyka nie chce wyczerpywać tajemnicy, lecz zbliżać się do niej, aby dać się prowadzić jej logosem. Misterium i rozum, zjednoczone, nie przemieszane.

Wzniosłość w zwyczajności wyczytuję za to u Karola Wojtyły. Najoczywistszym tego przejawem jest *Tryptyk rzymski*. Nie poświęcę mu tutaj zbyt wiele miejsca, przede wszystkim z uwagi na to, że jest tekstem wielokrotnie już przytaczanym i komentowanym, nieraz kosztem innych, wcale nie ostatnich. Od zawsze zachwycało mnie przede wszystkim *Rozważanie o śmierci*, które w istocie jest rozważaniem o trwającym życiu. Być może właśnie śmierć jest tym kamieniem przy granicy, który uświadamia nam, gdzie kończy się wpływ ironii. Widać to w poemacie Wojtyły, niezwykle zresztą pogodnym w pojmowaniu końca jako zwyczajnego (a ściślej: wyznaczonego przez dobroć Boga) biegu rzeczy.

W przestrzeni tej, w najpełniejszym świata wymiarze,
JESTEŚ
i wtedy ja mam sens i moje w grób opadanie
i przechodzenie w śmierć –
a rozpad, który mnie czyni prochem niepowtarzalnych atomów,
jest częścią Twojej Paschy.

Dojrzałość, pełnia, pojednanie, nadzieja – oto język, którym operuje *Rozważanie o śmierci*. Język dla wielu wręcz gorszący, postawiony w stan oskarżenia przez twórców podejrzliwych i niedowierzających

wielkim deklaracjom. Pod tym względem Wojtyła jest wiernym uczniem Norwida, przejmującym od niego szlachetną wzniosłość i zaangażowanie. Obaj twórcy byli metafizyczni, mówili o wielkości w sposób, który podnosi w człowieku to, co najgłębiej jego. Odkryłem to dopiero w wieku dojrzałym, kiedy autorytet Jana Pawła II zaczął się stopniowo kurczyć do wspólnoty katolickiej (sam przez długie lata należałem do grupy kontestatorów papieża), zaś poszukując śladów transcendencji w liryce powojennej, musiałem zmierzyć się z *Tryptykiem rzymskim* i *Pieśnią o blasku wody* jako poezją.

Poezja Wojtyły jest jakby pisana metafizyką. To twórczość czerpiąca z języka filozofii, ale też odwrotnie, ukazująca pokłady liryzmu w klasycznym myśleniu filozoficznym, które przekracza język w stronę niewyrażalnego, a przecież dającego się poznać. Rzeczy są nazywane wprost, jasno, klarownym językiem, choć pozostają tajemnicą. To także „napisana sarna” i „napisany las”, lecz również coś znacznie więcej niż pismo: śmiała ufność w możliwość poznania Tego, który Jest. Miejsce, w którym upada się z zachwytem na kolana przed tą pełnią – to granica, której nie przekracza ironia.

Michał Gołębiowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MN